

LD 50

Nie będę ukrywał, że darzę ten zespół sporą sympatią. Od samego początku, gdy dowiedziałem się o takim tworze jak LD 50 wydało mi się to bardzo ciekawe. A gdy jeszcze okazało się, że ekipa, mimo że jest dużo starsza ode mnie i zdecydowanej większości aktywnych załogantów, to jest bardzo kumata i zajął się odnalazła się na scenie punk bez jakichś kombatanckich wygłupów. Do tego muzyka, która o ile w przypadku pierwszej płyty była jak dla mnie nierówna, to drugi materiał zapowiada się bombowo. Spotkanie miało miejsce w sierpniu, reprezentacja LD50: P.M, Darek, Jaworek.

Darek : Zaczynaliście w 1979 roku. Graliście kilka lat, lecz nawet osoby, które siedzą mocno w punk rocku nie kojarzą jakoś Waszej nazwy z tamtych lat. Czy była to kwestia wyboru maksymalnego undergroundu, czy brak możliwości jakiegoś szerszego zaistnienia?

-W 1979 roku powstała nazwa i skryzalizowała się chęć grania, próby i pierwszy koncert dopiero rok i dwa lata później, ale i tak głównie szlifowaliśmy chodniki i piliśmy wino na ławce (jakoś tak raz w tygodniu - bułgarskie białe wytrawne po 7,90). To były czasy, w których rozgłos rozchodził się sposobem z ust do ust. Nie było Internetu, komórek, PC-tów, żadnej formy pozaobiegowej komunikacji, ksero raczkowało i było kontrolowane, żeby nie rozpowszechniać bibuły. Dopiero, gdy zaczęliśmy regularne próby w Rivierze i po pierwszym większym koncercie w 1981 roku pojawiła się wzmianka o LD50 w zinie. Nie pytasz o nakład? 25 egz.! To są teraz prawdziwe białe kruki /śmiech/. Zaraz też pojawiły się zaproszenia do grania w Polsce, niestety niefortunne: do Torunia i do Wrocławia. Na Toruń to chyba papieża postrzelili, a drugim razem umarł Wyszyński. To było nie do porównania z sytuacją dzisiaj, gdzie masz możliwość grania koncertów na prywatnym sprzęcie, reklamowania go na punkowych portalach. Za 100 zł narobisz plakatów, na całe miasto. Z jednym było lepiej – z frekwencją, dużo większa niż na dzisiejszych koncertach scenowych. Kapel było niewiele i każda impreza była wydarzeniem. A poza tym jak dziś, jeśli byłeś dobry przychodzili ludzie, mówili o tobie, kibicowali.

Ale nawet ludzie z Warszawy nie bardzo kojarzą nazwę LD 50, że te dwadzieścia kilka lat temu był taki zespół...

-W tamtych czasach w Warszawie było może 70-100 punków. Mają teraz grubo po 40tce i może jak byś ich popytał... Ci ludzie, z którymi się wtedy kumplowaliśmy porozchodzili się, zapili albo robią teraz zupełnie inne rzeczy czy to muzycznie czy w innych zawodach. Nie chodzą w takie zakazane miejsca, w których gra teraz scena – pewnie nikogo tu nie znają. Na rylisowy koncert w Aurorze, nagłośniony ciut nieco w Stołecznej GW przez redaktora - pierwszego fana LD50 ;-) przyszło słownie 6 osób z tamtych czasów. Jedynie czasem pojawiają się na tego typu zdarzeniach np. Kelner – wiadomo, czy Magik - wiadomo + KUFLERS itp. Pamiętam jak po długiej przerwie w słuchaniu punka poszedłem na czad giełdę pod namiot na Emilii Plater. Przyszedł stary, nieznany nikomu dziad, kupił trochę płyt i poszedł; koniec, kropka.

No coś w tym jest; czasami przychodzą jacyś dziwnie starsi panowie, których nikt nie zna...

-...i nie wiadomo, czy nie mają dyktafonów i czegoś tam nie nagrywają /śmiech/.

Czy na początku lat 80-tych można mówić w Warszawie o czymś takim jak namiastka sceny punkowej?

-Trzeba to dokładnie umiejscowić - 1980 czy 1982 rok? To wielka różnica. W 1980 roku punka słuchały tylko punki, kapel było dosłownie kilka, w zasadzie wyłącznie załogowe. Grali swoi dla swoich, czyli jakby scena. Postrzegani dziś jako ikona tamtych czasów Brylewski, czy Lipiński to nie byli ludzie ze sceny punkowej. Grali jedną z odmian rocka, który się pojawił i mógł się podobać młodzieży. Był też jakoś tam tolerowany przez władze. Oni oczywiście mieli kłopoty z cenzurą, ale to były zespoły stricte rockowe – z ciśnieniem na wielką scenę. „Punkowego rocka” miała wtedy w repertuarze i pani Jackowska i pani Trojanowska i pani Rodowicz. Jedynym znanym nam „tuzem” z tamtych czasów, którego interesowała „prawdziwa scena” był Jerzyk Wereński. To był facet, który przychodził na koncerty młodych kapel, wspierał je. No, może jeszcze Piotrek Wieteska.

Aktualna scena punkowa zaczęła się od takich kapel jak SS-20, czy TZN XENNA. Od Jarocinów. To był 1982 rok; wtedy zaczynali tacy ludzie jak Skandal, którzy dowiadawali się, z czym tego punk rocka jeść. Dopiero oni zaczęli tworzyć tak naprawdę tę scenę, która przetrwała do dziś. My byliśmy między pierwszą, a drugą falą punk w Polsce. Byliśmy młodszy niż Brylewski, czy Lipiński, a znowu przez młodszych załogantów postrzegani jako soft-punkowcy z liceum, bo 1982-83 to u nas były już New Wave`y, Cold Wave`y i inne eksperymenty. Te nowe kapele zaczęły robić punk rocka profesjonalnie, z rozmachem i na serio. My pogrywaliśmy z doskoku. Dopiero teraz jesteśmy ciut bardziej zaangażowani.

A czy przyczyną tego, że nie zaistnieliście bardziej, było też to, że w pewnym momencie poszliście w stronę nowej fali, THE CURE itp., a nie graliście punk rocka jak np. DEZERTER?

-Możliwe. Jak tylko rozkręciliśmy się z punkiem, to na zachodzie już mało kto tego słuchał. To w zasadzie był schyłek tej muzyki. Rozpadały się prawie wszystkie kapele pierwszej fali. Wybuchła nowa muzyka, też niezależna. Dla nas JOY DIVISION, czy później CURE były naturalną kontynuacją tej sceny – mentalnie i środowiskowo to był wciąż jeden nurt, więc popłynęliśmy nim. W momencie, gdy eksperymentowaliśmy z new wave, czy awangardą, byliśmy przekonani, że punk rock przestał istnieć. Ogromnym zaskoczeniem już w latach 90-tych było odkrycie, że punk rock się odrodził i jest tak ogromnym ruchem, ma tak wielu zwolenników, kształtuje kulturę, przemysł rozrywkowy, przemysł odzieżowy, ba – politykę. Jest zakotwiczony na stałe.

Odkryliśmy, że punk przeszedł nieprawdopodobną ewolucję. W kawałkach są solówki, na scenie długie włosy, ekologia, wegetarianizm, straight edge. Dla nas to było kiedyś zupełnie nieznanne tematy; my braliśmy wino, bułkę z mortadela i szliśmy na próbę. W naszych czasach takie dziwactwa wyrabiali hipisi i harcerze. Gdy kupiłem płytę GUERNICY Y LUNO pomyślałem, że zły plakat włożyli do środka /śmiech/. Zamiast irokezów, kolców byli ludzie, którzy wyglądali jakby zaraz mieli się do drzewa przykuwać. Ale punk w takiej formie zaczął nam z powrotem odpowiadać i byliśmy dumni, że tworzyliśmy ten nurt. Później, gdy trafiliśmy do ludzi z klimatu, przekonaliśmy się naocznie, że punk nie umarł. Punk znów stał się ciekawy i świeży. To już dawno nie jest jarociński jabol punk który irytował nas tak bardzo w 1982. Umcy – umcy zawsze z jednym refrenem „wszyscy pokutujemy, za to, że żyjemy”. Te korzenie punka nigdy nie były nasze. To słyszeć zresztą w muzyce LD50. Paweł Gaik w recenzji płyty „Retropunk” na Independent.pl napisał, że choć to retro płyta, jednak nie ma nic wspólnego z klimatem jarocińskim.

Czy Waszym zdaniem w punku lat 80-tych chodziło o coś więcej niż muzykę?

-Części osób chodziło o to, żeby się wybić i nagrać singiel w Tonpressie. Innym, żeby być w centrum uwagi i mieć bliżej do pańienek, jeszcze inni chcieli dzielić się swoimi poglądami, objaśniać świat. Nagrywanie, zupełnie inaczej niż teraz, musiało wiązać się z kompromisami. Sami, przed koncertami w Remonce chodziliśmy z tekstami piosenek do urzędu cenzorskiego. Kapele, które wydawały „fonografię” musiały mieć na to formalną zgodę władz, ale pewnie nie było z tym wielkiego problemu, bo punk lat 80-tych przeważnie nie miał jakiegoś głębokiego przesłania. Nie był naładowany treściami ideologicznymi; często ci ludzie zupełnie nie wiedzieli, o co walczą - chcieli tylko kwestionować zastany ład, konceptu, co dalej nie było bo wiadomo - „no future”. Było też takie hasło: „Nie wiem, czego chcę, ale wiem, jak to osiągnąć”. To oddaje tamten klimat. W zasadzie punk był antykomunistyczny, ale bardziej na podłożu anarchistycznym, walki z systemem wszelkiej maści niż walki „nas Polaków o wolność spod jarzma sowieckiego”. Polski punk nie popierał „Solidarności”. Mieliśmy w dupie te oporniki w klapach marynarek, my nosiliśmy znaczki Clash’ów. Jeśli chodzi o tamte czasy to Punk był też mniej tolerancyjny, wymagał większej zgodności ze wzorcem. Nie było mowy o wpływach zwykłego rocka – musiało być prosto i surowo, jakiegokolwiek przejawy glamu były wielkim obciachem. Jedyne, co dopuszczała scena i publika to domieszki ska i reggae. Podobnie ubiór, standardy zachowań – dość sztywno. Zero długich włosów, rozszerzanych spodni. Nie do pomyślenia były jakieś tam koszuli JUDAS PRIEST na przykład. Dzisiaj każdy ma to w dupie, panuje większa swoboda, ale wiadomo jakieś elementy tożsamości grupy muszą być powszechnie uznawane i manifestowane.

A dlaczego w ogóle LD 50 się rozpadło? Wypaliliście się?

-Trochę tak, ile można było stukać po pół kawałka na niekończących się próbach bez szansy na częstsze koncerty, czy nagrywanie. Była też sprawa życiowa. Perkusiście, grubo przed 19.tką urodziło się dziecko i zwyczajnie zwinął się pomagać w obowiązkach. To było katalizatorem rozpadu. Nigdy nie funkcjonowaliśmy, jak większość kapel, na zasadzie lider dobiera sobie muzyków. Tu zawsze było kumplostwo, zespół przyjaciół. Były próby łątania kapeli, ruchów personalnych – przewinęło się przez nią w pewnym momencie sporo osób, ale te ruchy tylko rozmywały cały koncept, aż w końcu nic nie zostało. Jak znów ktoś się wyłamie z głównego składu nie będzie szukania basisty, czy perkusisty. To będzie następnym koniec kapeli.

Wasz podstawowy, historyczny skład to 3 osoby, ale w LD50 gra was teraz czworo.

-Tak, gdy wznowiliśmy granie i odzyskiwaliśmy pomału muzyczną formę padło hasło, aby wzbogacić brzmienie i pojawiła się Dorota. Autorem konceptu był nasz frontman, bas z perkusją trochę się boczyli, trochę dąsali obawiając kłopotów i ogólnej niewydolności, ale wyszło lepiej niż świetnie. Nowy skład się ustabilizował i żadnych zmian nie przewidujemy.

Dorota jest chyba zupełnie spoza klimatu? Czy nie przeraziła się graniem w punkowej kapeli?

-Przede wszystkim jest od nas dużo młodsza. Ma wykształcenie muzyczne, nadal chodzi na „emisję głosu” i generalnie w siebie inwestuje. Muzyka jest jej pasją, nie miała żadnych wątpliwości, co do prób i grania koncertów – a gatunek, cóż, jeśli wsłuchasz się w jej partie zobaczysz, że po prostu robi swoje, osoba z wrażliwością

muzyczną dobrze zagra wszystko. Dorota od początku napierała na granie publiczne. Dla niej koncerty były podstawą.

A co właściwe spowodowało, że wróciliście do słuchania punk rocka, a w końcu do reaktywowania kapeli?

-Zostało nam na półce kilka kaset. Każdy od czasu do czasu kupował też jakieś płytki, gdy nazwa kapeli jakoś pozytywnie się kojarzyła, nasz frontman zbierał ich pokaźną kolekcję. No i słuchaliśmy – przez sentyment i między innymi. Jedni sporadycznie, inni bardziej regularnie. Piotrek zresztą pogrywał w domu, komponował do szuflady. Byliśmy mimo przerwy w graniu przesiąknięci tym klimatem do kości, „zakażeni” we wczesnej młodości i na całe życie. Nie tylko muzyką, ale i sposobem patrzenia na świat. Pomysł reaktywacji wisiał w powietrzu - z roku na rok był bliżej. Wystarczyło jedno spotkanie w sprzyjających okolicznościach i decyzja o pierwszej próbie zapadła.

A czy przypadkiem nie było tak, że zaczęliście znowu grać, bo byliście już znudzeni tym dorosłym życiem?

-Dorośle życie pędzimy dalej i nie ma w nim miejsca na nudę, bo jest dość intensywne. Mniej lub bardziej lubimy nasze zawodowe obowiązki, naszą codzienność, ale dzięki graniu, wyjazdom, spotkaniom uzupełniamy ją tym, co najbardziej nas kręci. Nie żyjemy oczywiście wyłącznie punkiem – pozdychalibyśmy z głodu, stali się nieznośni dla naszych bliskich, ale bardzo wzbogacamy nasze życie o super klimaty, które wydawało się już nigdy nie wrócić. Nasze ponowne granie nie jest żadnym odreagowaniem, jakąś rekreacją zaplanowaną na weekendy, jak basen czy inny tenis. Nasze granie traktujemy całkiem serio.

Gdybyście mieli zrezygnować z grania, nie brakowałoby Wam tego?

-Jasne, że tak - nawet nie ma o czym mówić. To wszystko wyszło w sposób naturalny, niezaplanowany i żywiołowy, ale teraz gdyby nie było prób, koncertów, planowania nagrań nowego materiału, mieli byśmy wrażenie straty, braku czegoś ważnego w naszym życiu.

A jak się w ogóle odnajdujecie i czujecie na tej dzisiejszej scenie hc/punk? Jakie są różnice między graniem dziś a wtedy?

-Scena hc a szczególnie DIY to bardzo dobre, chyba jedyne dla nas miejsce, choć nie gramy hc. Po 25 latach znaleźliśmy się w tym samym punkcie, co wtedy, gdy zaczynaliśmy. Pamiętaj, że nie spotkało się trzech profesjonalnych muzyków, tylko osoby, które musiały najpierw przełamać wtórny analfabetyzm muzyczny. Przez dłuższy czas z powrotem uczyliśmy się grać. Dzięki temu utrwaliło się wśród nas przekonanie, żeby nie rzeźbić i nie kombinować. Max dwie i pół minuty prostego rytmicznego grania, w rozsądnym tempie. Piotrek jest tak utalentowanym człowiekiem, że za pomocą prostych środków potrafi stworzyć rzeczy z właściwym klimatem i niezwykle energetyczne – to jest kwestia wyrażenia czegoś, pewnych emocji prostymi środkami. Wiele kapel gra od nas dużo ostrzej, znacznie szybciej i w bardziej okazały sposób – no i pewnie lepiej technicznie, ale my wychodząc na scenę zawsze czujemy się świetnie. Przy naszej muzyce ludzie fantastycznie się bawią, a reakcja publiczności błyskawicznie się nam udziela. Odbieramy i oddajemy tę energię. Zdarza się, że hardcorowe puny nie tylko skaczą i robią młyn, ale zwyczajnie podrygują nóżką lub tańczą z rozbrajającym uśmiechem na twarzy. To są dla nas wspaniałe chwile.

Co do różnic to kiedyś koncerty były organizowane w szkołach na salach gimnastycznych, gdzie oczywiście nie można było wszystkiego zagrać i zaśpiewać. Były osiedlowe domy kultury, których sami zaliczyliśmy kilka i nie wyglądało to ciekawie. Też kluby studenckie z tym, że ze swoimi programami szkolno-dydaktycznymi zatwierdzanymi w dziekanatach. No, ale były też, na znikomą skalę, miejsca drugoobiegowe, pseudo niezależne koncerty pod namiotem przy Towarowej. Też przez jakiś czas u jednego gościa – Radziwiła w willi, odbywały się koncerty dokładnie według koncepcji DIY. Poza tym były jakieś imprezy na Politechnice, ale tak naprawdę miejsc do regularnego grania, sprzętu było jak na lekarstwo. Z właścicielem Vermon i Eltronów czyli czynnikiem oficjalnym o nazwie „kierownik placówki” trzeba się było jakoś układać. No ale jak już się dogadałeś to wszystko było absolutnie za free. Zdarzało się tak, że ludzie przychodzili na próby posłuchać i nagle robił się z tego mini koncert. Teraz sprzętowo, lokalowo, organizacyjnie jest nieporównywalnie, ale my i tak dużo lepiej czujemy się w takich miejscach jak Elba, czy Stara Kotłownia niż np. Punkt.

A jakie mieliście założenia, czy oczekiwania decydując się na reaktywację? Koncerty z kapelami z Waszego pokolenia, czyli z tzw. dinozaurami?

Na początku to był w ogóle taki plan, że przygotujemy parę kawałków, odświeżymy stary materiał i przygotujemy się do koncertu dla naszych znajomych albo na jakiś koncert dinozaurów. Gramy, kończymy, fotosy do albumu, wszystko. Nie myśleliśmy o powrocie na scenę, nie kalkulowaliśmy jak to zrobić. Z czasem okazało się, że bardzo dobrze czujemy się, gdy gramy, że powstał repertuar, i że mamy ochotę podzielić się tą muzyką z innymi. No i uznaliśmy, że nie będzie obciachu. Nie myśleliśmy, żeby korzystając z koniunktury dobić czy podczepić się do tych popularnych kiedyś zespołów.

Mogłoby się wydawać, że właśnie Wasza reaktywacja zbiegła się w czasie z powrotami tych kapel z lat 80-tych, czyli DEUTEREM, WC, REJESTRACJĄ...

-Ona się zbiegła w czasie, ale to jest absolutny przypadek, zresztą, gdy zaczynaliśmy ponownie próby byliśmy od sceny na tyle daleko, że nawet tych „masowych” reaktywacji nie zauważyliśmy. Z jednej strony cieszy, że te zespoły wracają, ale prawda jest też taka, że te kapele reaktywują się dzięki rynkowej koniunkturze i dla odcinania konkretnych kuponów. Ostatnio np. MOSKWA zagrała w Hard Rock Cafe – żaden z nas nie wyobraża sobie wejścia z gitarami do „Złotych Tarasów”, gdzie to Cafe się mieści, czy na inny festyn w McDonalddie. Te zespoły wracają po prostu grać rocka, bo pojawiła się nisza na punka dla mas z jakąś tam kaską w tle. Nie ma nic złego w graniu dla pieniędzy i nie chcemy ich krytykować. Każdy wybiera sobie własną drogę i chwytą swoją okazję. Jeśli na te koncerty przychodzi kupa ludzi, niech mają menadżera, agenta, kilka tysięcy i hotel. My mamy źródła naszych dochodów poza sceną i póki co troszczymy się tylko, aby nasze granie jakoś się bilansowało, czyli żeby nie dokładać, dlatego zamiast hotelu mamy karimatę w garażu.

W naszym przypadku po latach życia w społecznym main stream`ie przyszedł taki moment, taka refleksja, że coś nam spierdoliło wtedy sprzed nosa. Czasy były marne, a my byliśmy za młodzi i zbyt olewający, żeby organizować koncerty, nagrać normalny materiał. Teraz można to wszystko naprawić. To, co przepadło gdy mieliśmy po 19 lat, teraz mamy znowu na wyciągnięcie ręki. Taka powtórka z młodości jak jakiś cud. Wybierając wtedy inną drogę – wykształcenie, rodzinę,

stabilizację, a teraz z powrotem granie, scenę i punka zrobiliśmy w sumie niezły deal, bo mamy więcej z życia - dokładnie 2x więcej niż przeciętny Kowalski /śmiech/.

Przez cały Wasz materiał przewija się sentymentalizm, za tym, co było kiedyś; nawet określenie Waszej twórczości jako retro punk zdaje się to potwierdzać. Czy takie założenie mieliście od początku?

-My nic innego nie mogliśmy nagrać, bo te kawałki mieliśmy już w pewnym sensie porobione. Na „Retropunku” niektóre fragmenty tekstów czy utworów są tylko podszlifowane. Zamieniliśmy kilka refrenów, czy linie melodyczne wokalu. Na kasetach mamy ok. 50 dłuższych czy krótszych fragmentów utworów z lat 1980-84, wystarczyło poskładać to do kupy. Sentymentalizm, to nie była zamierzona rzecz, nie dało się tego inaczej nagrać. Ta muzyka musiała tak zabrzmieć, bo to był pierwszy krok do wykonania - sięgnąć do tego, co graliśmy wtedy. Siłą rzeczy znalazło się też trochę nostalgii za początkami, za młodością. Pierwsza płyta punkowa została wydana przecież 30 lat temu – ale na „Retropunku” jest tylko kilka takich utworów. Najważniejsze, że materiał nie jest cikliwy a większość utworów jest po prostu „do przodu”. Chyba najgorszą wtopą byłoby zrobienie czegoś nie autentycznego. Jakieś brzemienia i riffy na siłę. Odsłuchanie z notesem tego, co gra się teraz i naśladowanie. Kompletna kompromitacja.

Ale u Was na retro się nie kończy. Chyba cały czas odkrywacie współczesne kapel hc/punk?

-Zgadza się; pewne rzeczy odkrywamy, pojawiają się nowe pomysły, ukłony w stronę kapel i odmian grania, z jakimi zetknęliśmy się na naszej nowej drodze życia. Chcemy grać nadal swoje, ale przecież nie w próżni. Spotkaliśmy na scenie wiele wartościowych kapel grających inaczej - ZŁODZIEJI ROWERÓW, DIE LAST, czy APORIE. Nie chcemy tworzyć nic na siłę, żadnych muzycznych frankensztajnow, ale z drugiej strony chcemy pokazać, że podoba nam się to, co dzieje się obecnie na scenie hc/emo/punk. Robota tych i jeszcze innych kapel ma sens i robi na nas wrażenie. W kilku nowych utworach będzie słychać, że ich słuchamy, że bywamy na koncertach, że to, co robią nas inspiruje. Jednak naszym celem oczywiście nie jest grać jak inni.

Skąd się u Was wziął „kierunek na wschód”, a nie na zachód, wymarzony chyba u większości kapel?

-Z tym zachodem to jest trochę tak jakby wozić drewno do lasu. Z polskich kapel to chyba tylko black metale no i Chopin mają swoją autentyczną, zachodnią widownię. Reszta pogrywa coś w mikroskopijnej skali dla polonusów. Wydaje się, że tam wszystko już było, od obfitości towarów i postaw aż robi się nie dobrze. Jest przesył wszystkiego – nawet protestu.

Na Białorusi, gdzie ostatnio byliśmy, okazuje się, że możesz wejść do garażu, a ludzie już tam czekają, żeby podrzeć się, porobić cos innego, pokazać małego fucka swojemu lokalnemu systemowi. Im ta muzyka jest bardziej potrzebna. Bardziej potrzebne jest wsparcie w propagowaniu postaw niezależnych i kontestujących. Dystans i gradzenie się od wszystkiego, zamykanie się, totalny relatywizm, to dzisiejszy zachód. A na wschodzie jest dokładnie odwrotnie. O wiele łatwiej o spontaniczną reakcję, o energię.

Poza tym tamtejsze kapele świetnie grają, są zmotywowane i zaangażowane. Jeśli chodzi o zachód, jeszcze wypada wspomnieć, że kompletnie minął nas amerykański surf punka – punk a la MTV, aczkolwiek pod względem entuzjazmu i energii wielki

plus. Gdy słucha się naszych rodzimych HARTAL, czy CF98, to podoba się z jakim serduchem te chłopaki podchodzą do grania. BEACH BOYSI na ostrym fuzie /śmiech/.

A jak Wy podchodzicie do tej oficjalnej kultury, mediów, promocji, wydania się w dużej wytwórni?

-Nad każdą propozycją należy się zastanawiać; szczególnie, że w naszym wieku umiemy już wybierać. Jest jednak mało prawdopodobne, żebyśmy zaaprobowali warunki dużej wytwórni, gdyż oni mają w założeniu robienie pieniędzy, opychanie towaru na możliwie jak największą skalę, co rozmija się mocno z naszymi założeniami. Trudno też sobie wyobrazić, że ładujemy się w jakiś 60 stronicowy kontrakt a potem, jak czegoś nam się zwyczajnie odechce, albo nie spodoba nam się styl, w jakim nas lansują i opakowują, to będziemy mieli prawników na karku i popsutą zabawę. Nikt nie będzie nas do niczego zmuszał. Robimy to dla przyjemności, a jak przestanie nam to sprawiać przyjemność to przestajemy grać – z dnia na dzień. Duży kontrakt to w brew pozorom taki sposób na pozabawienie się przyjemności z grania.

Dla Waszych rodzin, znajomych to chyba było duże zaskoczenie, że spotykacie się, żeby grać punk rocka? Pewnie uważają to za niegroźne dziwactwo?

Niektórzy nawet za groźne. Nasi znajomi uważają, że to taka odskocznia od codzienności, hobby, jak zbieranie znaczków. Tolerują to i trochę kibicują. Dają życzliwe i umiarkowane poparcie na zasadzie – fajny pomysł na weekend, też bym coś takiego sobie wykombinował zamiast tyć w domu przy ciepłym piwie. Nie mieści im się chyba w głowie, że gramy na serio, że jesteśmy na scenie naprawdę. To chyba świat dla nich zbyt odległy, zbyt niecodzienny i zbyt „groźny”.

Polska jest pełna lęków i demonów, niewiedzy i szowinizmu. Niektóre osoby, którym mówiliśmy, że gramy na skłocie, albo na nielegalnych koncertach bez ochrony, bały się przyjść. Skłot jest dla nich miejscem, gdzie jeden narkoman zabija drugiego. Ale z przyjemnością musimy stwierdzić, że ci, którzy przełamali obawy byli pod wielkim wrażeniem nie tylko grania, ale i tych miejsc.

Kaczyński raczej nie może być punkowym muzykiem, bo punk jest kompletnie niezgodny z jego ideologią. Ale kto powiedział, że my, na co dzień tzw. obywatele nie możemy mieć poglądów społeczno – politycznych i głośno ich wyrażać. Mało tego, zdaje się, że taką możliwość gwarantuje nam konstytucja /śmiech/ .

Jest jeszcze jedna rzecz. W czasach, gdy byliśmy takimi młodymi ulicznymi punkami, też dzieliliśmy świat na dwa, na to, co robiliśmy na ulicy i to, co robiliśmy w domu. Mieliśmy swoje matki, z którymi tak za bardzo nie walczyliśmy i szkoły, do których chodziliśmy i nawet pokończyliśmy je z rozpędu. Kim innym było się pod tablicą na matmie, a kim innym wieczorem, na Starym Mieście. To się mądrze nazywa role społeczne, można mieć ich wiele.

OK., to by było na tyle, wielkie dzięki za rozmowę.